

TANYA HUFF

Czerwony kalosz

Opowiadanie zostało wydane w antologii pt. "Krwawe powroty"

Co o tym sądzisz? – O wystawie?

– O szalu!

Henry podszedł bliżej wystawy *Skarbów Tajlandii* i obejrzał zielonkawy szal, który był w mniej lub bardziej artystyczny sposób udrapowany na szczycie góry zrobionej z papier mache.

– Niezły – powiedział po chwili – ale to nie jest twój kolor. Dla ciebie lepszy będzie turkusowy. – Wskazał drugi szal, imitujący niebo.

– To nie dla mnie – powiedział Tony Foster, patrząc z wyrzutem na swojego towarzysza.

– Ach, dla Lee. W takim razie potrzebujesz jakiegoś głębszego odcienia zieleni.

– To dla Vicki.

– Vicki? – Henry odwrócił się, marszcząc brwi. Tony wpatrywał się w niego na poły z absolutną niewiarą, na poły z przerażeniem.

– Nie zapomniałeś. Powiedz mi, że nie zapomniałeś. Musiałeś dostać e-maila od Celluciego.

– Chciałeś powiedzieć e-maile.

Henry przez kilka ostatnich tygodni dostawał liczne wiadomości od detektywa sierżanta Michaela Celluciego.

Każda była bezpośrednia w stylu tak charakterystycznym dla adresata, że trudno było orzec, czy jest tylko lakoniczna, czy może już niegrzeczna, i każda po przeczytaniu była od razu kasowana.

– W sprawie urodzin Vicki?

– Tak. Więc... – Tony z wyraźną ulgą po raz kolejny wskazał szal – co o nim myślisz?

– Myślę, że niepotrzebnie się martwisz – odpowiedział mu Henry. – To tylko urodziny.

Tony stanął na środku chodnika i gapił się na bękartą Henryka VIII, kiedyś diuka Richmond i Somerset oraz marszałka Północy, teraz wampira i autora romansów, jakby właśnie wyrosła mu druga głowa.

– Zwariowałeś?!

* * *

Tony upił trochę swojej kawy latte i powoli odstawił kubek na drewniany blat kawiarnianego stolika. A potem pochylił się i spojrzał Henry'emu prosto w oczy. Niewiele osób było w stanie to zrobić. Jeszcze mniej miało w ogóle ochotę, sam Tony też nie ośmielał się robić tego zbyt często, jednak teraz chciał mieć pewność, że jego przyjaciel rozumie powagę sytuacji.

– Ona kończy czterdzieści lat.

– Jest nieśmiertelna – przypomniał mu Henry; mimo prowokującej obecności ludzi udawało mu się utrzymywać głód na wodzy.

– Jaką to robi różnicę?

– Będzie miała nieskończenie wiele urodzin. – Henry rozłożył ręce.

– I co z tego? – Tony wykorzystał okazję, by zerwać kontakt wzrokowy, ale tak, by nikt nie posądził go o rejteradę. Przewrócił oczyma. – Skończy czterdziestkę tylko raz.

– I pewnego dnia, jak Bóg pozwoli, skończy sto czterdzieści lat, dwieście czterdzieści...

– Ty tego nie rozumiesz, prawda?

– Najwyraźniej nie. – Henry sięgnął po butelkę z wodą. Lubił to, szczególnie od czasu, gdy picie wody stało się trendy i wielu mieszkańców Vancouver nie tykało innych napojów, zwłaszcza tych zawierających kofeinę lub alkohol. W ten sposób upodobanie do czystej wody czyniło z Henry'ego osobę modną, o publicznie akceptowanych przyzwyczajeniach.

Był to współczesny gest, który sobie cenił, odkąd okazało się, że jest dobrze widziany i nie wyróżnia go z tłumu. Henry obserwował przez chwilę uczucia malujące się na twarzy Tony'ego i pokręcił głową.

– Najwyraźniej nie – powtórzył.

Ciężko mu było uwierzyć, że Vicki Nelson, jego pierwsze dziecko od prawie czterystu siedemdziesięciu lat, mogła przejmować się czymś tak nieistotnym jak urodziny. Tym bardziej jeśli wziąć pod uwagę, jaka była przed przemianą. Obdarzona silną wolą, uparta i zdeterminowana jak terier. Nie, nie terier, bo one były małe i głośne. Vicki nie. Przypominała raczej pitbulla. Bywały agresywne, to prawda, ale zazwyczaj wynikało to ze złego traktowania i braku zrozumienia. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, że ktokolwiek próbuje założyć kaganiec Vicki Nelson.

– O co chodzi? Znowu uśmiechasz się, jakbyś chciał powiedzieć: jaki ja jestem mądry – odezwał się Tony i Henry wrócił myślami do kawiarni. – Czy zastanawiałeś się, co jej kupić?

Lepiej nie wspominać o kagańcu.

Vicki i Toronto znajdowały się teraz setki mil stąd, ale myśl o spotkaniu z nią sprawiała, że miał dreszcze, jakich nie czuł od ponad czterech wieków.

– Znam ją od lat i ani razu nie dałem jej prezentu urodzinowego.

– Czterdziestka, Henry.

– I czym to się niby tak różni od trzydziestych dziewiątych urodzin?

Tony westchnął.

– Piszesz romansidła, Henry. Nie wierzę, żebyś tak mało wiedział o kobietach!

– Żadna moja bohaterka nawet nie zbliżyła się do czterdziestki.

Właściwie nie potrzebował kasy na jedzenie, ale za coś trzeba było opłacić mieszkanie i ubezpieczenie, a bohaterki w średnim wieku nie były dochodowe.

– Taa. A twoje fanki?

Jeśli wziąć pod uwagę pocztę, jaką Henry dostawał, jego fanki były zdecydowanie w średnim wieku. Nie wiedział, jak jest w rzeczywistości, ponieważ odrzucał wszystkie zaproszenia na złoty wielbiciel romansów. Jego czytelniczki były pewne, że jest rudą trzydziestopięcioletnią kobietą o imieniu Elizabeth Fitzroy.

– W zasadzie to ja z nimi nie rozmawiam.

– Może powinienes. Słuchaj... – Tony oparł łokcie na stole i nachylił się.

– Czterdziestka to duża sprawa dla kobiety. To jest wiek, kiedy muszą przestać udawać albo zacząć starać się jeszcze bardziej.

– Co udawać?

– Młodość, Henry.

– Vicki będzie zawsze młoda.

– Nie. – Tony pokręcił głową. – Ty będziesz zawsze młody, bo z ciebie zrobili wampira, gdy miałeś siedemnaście lat. Vicki miała trzydzieści cztery, kiedy przeciągnęłaś ją na ciemną stronę. No wiesz, dosłownie ciemną.

Gdy Henry zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, o co mu chodzi, Tony machnął ręką w stronę okna kafeterii i nocnego nieba, ledwie widocznego nad światłami Davis Street.

– Nieważne. Chodzi o to, że była człowiekiem dwa razy dłużej niż ty, a poza tym była już po trzydziestce. Jest kobietą i uwierz mi, że czterdzieste urodziny są ważne. Jeśli mi nie ufasz, zaufaj Celluciemu, on z nią mieszka.

Wampiry nie dzieliły terytorium. Przemieniając Vicki, Henry stracił ją na rzecz swojego rywala śmiertelnika. To już brzmiało jak wers z kiepskiego romansu. Potarł czoło i zaczął się zastanawiać, co takiego się wydarzyło, że jego życie tak się skomplikowało. Głupie pytanie. Pojawiła się w nim Vicki Nelson, była superbohaterka z policji w Toronto. Przejrzała wszystkie jego maski i wciągnęła go w życie, jakiego nie miał od setek lat. Sprawiała też, że w jego życiu pojawił się Tony, i to ona była też winna temu, że obydwaj siedzieli teraz w Vancouver. Czterdzieste urodziny dla takiej kobiety nie powinny nic oznaczać.

– Spójrz na to w ten sposób, Henry – Tony przerwał rozmyślenia

przyjaciela. – Vicki jest nieśmiertelna. I przez cały ten długi czas będzie na ciebie wkurzona.

Z drugiej strony kim on był, żeby mówić, co znaczą czterdzieste urodziny dla takiej kobiety? Henry przesunął butelkę wody, sprawiając, że jej zawartość zaczęła się bujać.

– A co ty jej kupujesz?

Tony, do niedawna dziecko ulicy, były informator policji, trzeci asystent reżysera najbardziej popularnego serialu o wampirach i jedyny czynny czarodziej w Kolumbii Brytyjskiej, odchylił się na zrobionym z kutego żelaza krześle i powiedział:

– Nie mam bladego pojęcia.

* * *

Gdy następnego wieczora Henry obudził się, na jego automatycznej sekretarce były dwie wiadomości, obydwie od Tony’ego. Pierwsza, tak jak przypuszczał, dotyczyła urodzin Vicki. Według opinii scenarzysty *Najciemniejszej nocy* kobiety w wieku Vicki doceniały prezenty, dzięki którym mogły poczuć się młodo, ale zarazem nie życzyły sobie przypomnienia o tym, że przybyło im lat. Biorąc pod uwagę, że Vicki już właściwie nie przybywało lat, Henry za bardzo nie miał pojęcia, o co mogłoby chodzić.

Chciał już skasować drugą wiadomość, zakładając, że jest ona podobnej treści, ale zawahał się.

– W Lytton zaginęła jakaś mała dziewczynka i tą sprawą zajmuje się ktoś, kto nazywa się Kelvin Groves.

Kelvin Groves, reporter lokalnego tabloidu „The Western Star”, miał niewygodną umiejętność dochodzenia do prawdy. Choć jeśli wziąć pod uwagę, że jego nazwisko pojawiło się raz przy tytule *Komitet olimpijski przenosi rodzinę Wielkiej Stopy*, dar Grovesa był zasadniczo bardziej niewygodny dla tych, którzy byli świadomi jego talentu, niż dla niego samego. Przez ostatnie lata cały czas informował w tabloidach o wzmożonej aktywności istot nadnaturalnych w okolicach Vancouver i w Kolumbii Brytyjskiej.

Podobieństwa się przyciągały. W swoim długim życiu Henry przekonywał się nieustannie o prawdziwości tego powiedzenia. Zaś od czasu, gdy Tony nauczył się lepiej kontrolować swą całkiem pokaźną moc, Henry pozbył się jakichkolwiek wątpliwości w zakresie teorii przyciągających się przeciwieństw. Poruszyłyby niebo i ziemię dla tych, których uważał za swoich. Reszta ludzkości mało go obchodziła. Jednak Tony był pewien, że z wielką mocą przychodziła też wielka odpowiedzialność, a to dawało mu status kogoś w rodzaju miejscowego obrońcy uciśnionych.

Henry, który uważał Tony’ego za jednego ze swoich, coraz częściej

odkrywał, że przyszło mu grać rolę ochroniarza młodego czarodzieja. Vicki nazywała ich na zmianę to Batmanem i Robinem, to nowymi Rycerzami Jedi. Już tym tylko zasłużyła sobie, żeby zapomnieć o jej urodzinach.

Czasami Henry zastanawiał się, czy nie używa Tony'ego jako wymówki, aby się zaangażować. Celluci nazwał go raz wampirem ze straży obywatelskiej i nie był to komplement, ale kiedy Henry pomyślał o małej zaginionej dziewczynce, stwierdził, że detektyw był bardziej spostrzegawczy, niż mu się to wydawało.

Wszedł do dużego pokoju i szybko włączył telewizor.

– ...kiedy bawiła się w ogródku, jej mama robiła porządki w ogrodzie dosłownie kilka metrów od niej. Okoliczni mieszkańcy zaczynają się obawiać, że niedźwiedź, puma lub inny drapieżnik zszedł z gór i teraz będzie polował na dzieci.

Henry podejrzewał, że możliwość wypowiedzenia ostatniego zdania na antenie była dla reporterki życiową okazją.

Młoda kobieta gapiła się w kamerę z rozszerzonymi oczami, jakby wiedząc, że właśnie ma swoje pięć minut.

– Ojciec Julie Martin powiedział, że rozprawi się z kimś lub czymś, co porwało jego córeczkę. Rzecznik prasowy Ministerstwa Zasobów Naturalnych zasugerował, że grupy poszukiwawcze, które miałyby przeczesywać lasy, mogą znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie, o ile nie będzie im towarzyszył odpowiednio wyszkolony personel, ale, niestety, urząd nie jest go w stanie teraz zapewnić.

To brzmi, jakby ministerstwo powinno mieć tropicieli, którzy mogliby od razu zacząć działać w takich sytuacjach. Henry dowiedział się jeszcze, że czteroletnia Julie Martin zniknęła bez śladu w biały dzień. Kiedy pokazano rozwścieczony i bliski hysterii tłum stojący przed budynkiem policji konnej i wymyślający dwóm na oko mocno już zastraszonej policjantom, wyłączył telewizor.

Jeżeli Kelvin Groves wiedział coś o zniknięciu Julie Martin i uznał, że jest to wystarczająco ważne, żeby zadzwonić do Tony'ego, to raczej nie była to sprawa dla policji czy ministerstwa.

O 18.47 Tony będzie prawdopodobnie na planie, więc zamiast dzwonić do niego, Henry postanowił skontaktować się ze źródłem.

– „Western Star”, Kelvin Groves przy telefonie.

– Tu Henry.

Henry usłyszał, jak tętno reportera przyspiesza. Mózg każdego człowieka miał zakodowany zestaw bezwarunkowych reakcji na okoliczność kontaktu z wampirem, w pierwszej kolejności wyłączał zdolność konstruowania składnych wypowiedzi, uruchamiając w zamian opcję pełnego przerażenia bełkotu. Kelvin Groves wiedział, dlaczego tak się działo.

– A więc czy jesteś... To znaczy... Dzwonisz w sprawie zaginionej dziewczynki Martinów?

– Tak.

– Wilkołaki.

– Słucham?

– Słyszałem, że w górach są ponoć wilkołaki. Faktycznie było jedno stado pracujące w starej kopalni tuż za Ashcroft.

– I wierzysz, że to wilkołaki porwały Julie Martin? – Bywały przypadki, że wilkołak okazywał się naprawdę podłym draniem. Jakkolwiek by patrzeć, byli mniej lub bardziej ludźmi.

– Nie. Chodzą słuchy, że w górach są wilkołaki, i jeśli tak się sprawa ma, to wtedy...

– Wtedy co? – ponaglił Henry.

– No wiesz. Wilkołaki! – I to tyle?

– Jedna z sąsiadek Martinów widziała, jak coś dużego i włochatego niosło małe ciało.

– W pysku?

– Nie, ale...

– Wilkołaki nie mają stanu pośredniego. Wyglądają jak wilki albo jak ludzie. – Z grubsza jak wilki i z grubsza jak ludzie. – To nie były wilkołaki.

– Starsza pani była pewna, że to nie była Wielka Stopa. Jeszcze sześć miesięcy temu Henry uwierzyłby, że to nie była Wielka Stopa. Po prostu zapytał:

– Duże i włochate?

– Tak powiedziała.

Nie mogli uratować każdego dziecka, które ginęło w Kolumbii Brytyjskiej, ale „duże i włochate” wskazywało, że policja może sobie z tym nie poradzić.

– Daj mi jej imię i adres. Sprawdzimy to.

* * *

– A więc gdzie jest Lee? – zapytał Henry, wymijając ciężarówkę swoim BMW rocznik 1976.

– W Los Angeles. Pojechał na casting do filmu.

– Odchodzi z *Najciemniejszej nocy*? – Lee Nicholas był partnerem Tony’ego i jednym z najpopularniejszych aktorów w serialu o wampirach.

– Co? Nie. – To pytanie odciągnęło uwagę Tony’ego od laptopa. – Film będzie kręcony w Vancouver i wydaje mu się, że będzie w stanie podołać obydwu przedsięwzięciom. Chester Bane ma zamiar dopasować grafik zdjęć, jeśli będzie to konieczne.

– To do niego niepodobne.

Chester Bane był notorycznie nieustępliwy w sytuacjach, w których mógłby stracić jakieś pieniądze.

– Ma nadzieję, że załatwi to serialowi trochę darmowej reklamy.

Henry parsknął.

– Chyba że. Co cię tak fascynuje? – zapytał Henry po kilku kilometrach, gdy oczywiste się stało, że Tony nie będzie dalej drażył tego tematu.

– Przepraszam. Przeglądałem właśnie listę możliwych... stworów?

– Stworów?

– Podejrzanych, którzy mogli porwać dzieciaka, a którzy nie do końca są ludźmi.

Henry niemal zamknął oczy, oślepiiony światłami samochodu nadjeżdżającego z naprzeciwka.

– Zamieniam się w słuch.

– No więc mógł to być Postrach, taki włochaty, wielki goblin, albo Chimera, ponieważ te części jej ciała, które są lwie lub kozie, niewątpliwie są też włochate, a świadek wcale nie musiał widzieć tego stworzenia w całości. Mogły to być różnego rodzaju demony, ale najpierw musielibyśmy ustalić, kto je przyzywa. Dalej... – Przesunął spis na ekranie palmtopa. – Żłudna Bestia – one wyglądają jak pумы, z tą różnicą, że są czarne i mają macki, też nie musiałyby nosić dziecka w pysku. Ettiny, czyli dwugłowe giganty, które mieszkają na wyludnionych obszarach i...

– Tony, skąd masz tę listę?

– Tak jakby od Kevina Grovesa.

– Tak jakby?

– Pożyczył mi indeks potworów RPG. No wiesz, to są takie gry fabularne.

– Przedłużające się milczenie powiedziało Tony'emu, że Henry nie wie, o co chodzi, więc dodał: – No wiesz, takie jak *Dungeons and Dragons*.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Serio? A to dziwne, bo one są stare. Nawet przestarzałe.

Henry nadal milczał. Tony westchnął.

– Chciałem zdobyć więcej informacji na temat jakiegoś włochatego stwora, który zjada dzieci i nie jest wilkołakiem.

– Tak więc sięgnąłeś do gry?

Tony parsknął ze zniecierpliwieniem. Obrócił się na siedzeniu, wsunął palmtop do kieszeni plecaka.

– Czy chcesz wierzyć czy nie, ale po wpisaniu w Google *Duże, włochate i je dzieci* nie wyskakuje nic użytecznego.

– Ale zmyślane...

– Henry, cokolwiek to jest, gwarantuję, że będzie uznane za zmyślane przez większość świata. Do diaska, my jesteśmy uważani za coś zmyślanego

przez resztę świata.

– Jestem pewien, że więcej ludzi, niż ci się wydaje, wierzy w istnienie trzeciego asystenta reżysera.

– Byłbyś zdziwiony. – Tony zsunął się z fotela, na ile pozwalał mu na to pas bezpieczeństwa, i oparł się kolanami o deskę rozdzielczą. – Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi żyje, zaprzeczając czemuś. Na przykład weźmy ciebie.

Henry spojrzał na Tony'ego.

– Mnie?

– Cały czas zaprzeczasz potrzebie dania prezentu Vicki.

– Powiedziałem, że coś jej kupię.

– Tak, ale to musi być coś naprawdę fajnego. Nie wydaje mi się, żebyś dużo myślał na ten temat.

– Zaginęła dziewczynka...

– Chcesz o tym rozmawiać całą drogę do Lytton? Ja nie.

– Dobrze – powiedział i wyprzedził dwie ciężarówki. – A może bon towarowy na prezent?

– Stary, dobrze, że tak trudno cię zabić.

* * *

Miasteczko Lytton znajdowało się jakieś dwie godziny jazdy od Vancouver. Henry zabrał Tony'ego z jego apartamentu przed ósmą i przed jedenastą jechali już główną ulicą.

– Sądziś, że ulice tutaj zawsze pustoszeją o tak wczesnych godzinach – zastanawiał się Tony, patrząc przez okno – czy jest to reakcja na zniknięcie dzieciaka Martinów?

– Jedno i drugie po trosze.

– Mam wrażenie, że obserwują nas zza koronkowych firan.

– Dlaczego koronkowych? – zapytał Henry.

– Nie wiem. – Tony zaczął poruszać palcami lewej ręki przed twarzą Henry'ego, nakreślając subtelny wzorek w powietrzu, który po sekundzie zniknął. – Tak jest chyba mroczniej.

– Nie wiem nic o koronkach, ale jesteśmy zdecydowanie obserwowani. – Henry czuł strach i złość, które przetaczały się przez miasteczko. Czuł też, że część tych uczuć kieruje się w ich stronę. W miejscowości, w której mieszka trzysta osiemdziesiąt osób i w której zaginęło dziecko, każdy nieznajomy staje się podejrzany. – Będzie chyba lepiej, jeśli będziemy... niezauważeni.

– Czy musisz mówić o tym w taki sposób? – wymamrotał Tony, kładąc dwa palce na kawałku metalu pomiędzy przednim i tylnym oknem. Przez ostatnie miesiące nabrał wprawę z zaklęciem *Nie widzisz mnie* i nie potrzebował

już sprawdzać go w swoim laptopie. Było jednak nadal wiele zaklęć, których nie opanował perfekcyjnie, więc laptop musiał mieć zawsze pod ręką.

Z ich perspektywy nic się nie zmieniło, ale Henry poczuł, że zainteresowanie patrzących oddaliło się od nich.

– Pod mostem kolejowym może być troll.

– Julie Martin nie znajdowała się w pobliżu mostu – przypomniał mu Henry. – Poza tym troll nie polowałby tak daleko od domu. Mają liczne nawyki, których nie zmieniają.

Grace Alton, świadek, która rozmawiała z Kelvinem Grovesem, mieszkała trzy posesje bliżej Lytton niż Martinowie. Jej dom wyglądał tak, jak wyglądają domki w takich miasteczkach – był biały, znajdował się w głębi działki i prowadził do niego długi podjazd.

Henry zaparkował koło starego buicka.

– Światła się palą, co znaczy, że jeszcze nie śpi.

– Jest dopiero dziesiąta. Dlaczego miałyby już spać? – Tony wzruszył ramionami, gdy Henry odwrócił się w jego stronę i uniósł jedną brew. – No tak. Jesteśmy na wsi.

* * *

Kiedy stali na ganku, Tony rzucił czar *Nie widzisz mnie* na samochód. Ponieważ dokładnie wiedział, gdzie go zaparkował, mógł niemalże dostrzec jego zarys. Ktoś inny musiałby wpaść na auto, żeby je odkryć. Zresztą w ten właśnie sposób sam na początku znajdował swój wóz. Prawe kolano nadal boleśnie mu o tym przypominało.

– Jedno bijące serce. Jest sama.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Na pewno będzie łatwiej – oznajmił Henry, otwierając drzwi.

– Drzwi są na pewno... Jasne. Jesteśmy przecież na wsi – powiedział Tony, podążając za Henrym do domu.

W momencie, gdy wszedł do salonu, Henry już klęczał przy starszej pani, trzymając jej rękę. Kobieta patrzyła na niego tak, jak patrzy się na coś, co wciąga nieodparcie. Cały dom śmierdział kocim moczem i po krótkiej chwili udało się Tony'emu namierzyć przyczynę. Był nią gruby biało-czarny kocur, bardzo uważnie wpatrujący się właśnie w Henry'ego.

W przeciwieństwie do psów koty nie przejmowały się wampirami. Ani czarodziejami, jak stwierdził Tony, gdy poczuł na sobie nieruchome zielone spojrzenie. Jeśli istniał jakiś czar, na który koty raczyły reagować, to on go jeszcze nie odkrył.

– Powiedz mi, co widziałaś – powiedział delikatnie Henry.

Tony poznał po sposobie, w jaki staruszka się pochyliła, że oczy

Henry'ego stały się teraz ciemne i hipnotyzujące.

– Byłam z tyłu domu i sprawdzałam, czy pergola od strony kuchni przetrwała zimę. Hoduję latem róże, takie różowe i one rosną aż do dachu. Zobaczyłam, jak coś się poruszało wzdłuż rzeki. Z moimi oczami jest wszystko w porządku. – Zacisnęła usta. – Nie obchodzi mnie, co powiedział policjant. Dobrze widzę na odległość. No dobrze, może z bliska jest gorzej i powinnam nosić swoje okulary, ale na odległość widzę tak dobrze, jak zawsze.

– Co widziałaś, Grace?

Napuszyła się lekko. Był to mimowolny odruch na uwagę Henry'ego, co, biorąc pod uwagę różnicę wieku pomiędzy nimi, Tony'emu wydało się z lekka obrzydliwe.

– To przechodziło obok dwóch krzaków lilii. Teraz nie są takie okazałe, ale gdybyś je widział wiosną. Są wspaniałe. A jak pachną! Jakiś młodzian z ministerstwa chciał je wyrwać. Ja mu pokazałam, co myślę na ten temat. Te lilie są starsze od niego.

Tony nawet współczuł facetowi z ministerstwa, bez względu na to, o które ministerstwo chodziło.

– Co przechodziło pomiędzy liliami, Grace?

– Widziałam coś większego od człowieka i bardziej zgarbionego. I miało duży, włochaty garb. Kształt tego czegoś był nienaturalny. Wyglądało jak jakieś... zło! – ostatnie słowo wypowiedziała z taką rozkoszą. Tony, który przez ostatnie lata naoglądał się naprawdę przerażających rzeczy, z trudem stłumił dreszcz. – To coś się szybko poruszało, ale ja widziałam. Widziałam, jak trzyma dziecko. Widziałam, jak kopnęło nóżką, na której miało czerwony kalosz. Julie Martin miała na sobie czerwone kalosze, kiedy zaginęła. Krzyknęłam, żeby się zatrzymało, ale szybko zniknęło, więc weszłam do domu i zadzwoniłam na policję konną, ale oni mi nie uwierzyli. Och, byli bardzo mili, ale i tak mi nie uwierzyli. Pytali się, czy byłam pewna, że bucik był czerwony. Tak jakbym nie była w stanie zobaczyć czerwonego bucika na tle włochatej kreatury. Powiedziałam im, że to nie była Wielka Stopa, ale biedaki mnie źle zrozumieli. To było coś zaniedbanego, nędznego. Nie chcę nikomu narzucać opinii, ale to zdecydowanie wyglądało jak jakaś zła istota, która zeszła z gór na żer. Zapytali mnie, jakiego rodzaju istota, ale skąd ja mam wiedzieć takie rzeczy? Czy wyglądałam na znawcę? A oni powiedzieli, że to światło mogło się jakoś dziwnie załamywać. Powiedziałam im, że wtedy światło było o wiele lepsze niż teraz, ale oni nie śpieszyli się, żeby przyjechać. Kiedy poszli, powiedziałam do Aleksandra... – wskazała na kota, który wyglądał na wyraźnie znudzonego – powiedziałam, że zaangażujemy w to piątą władzę, i wtedy zadzwoniłam do gazety.

Sterna tabletołów, z "Western Star" na wierzchu, leżała koło krzesła. Jedyne widoczne tytuły krzyczały: *To nie był szop!* Tony potarł gojące się

ugryzienie na łydce.

To nie był szop, tylko pekińczyk z paskudnym charakterem.

– Ten człowiek w gazecie uwierzył mi.

– Ja ci wierzę, Grace.

Poklepała Henry'ego po policzku wolną ręką.

– Wiem, mój drogi.

Zabawnie było widzieć, jak ktoś w taki sposób traktuje wampira Henry'ego Fitzroya, ale Tony nie sądził, żeby ułatwiło im to odnalezienie Julie Martin. Takie same informacje uzyskali od Kelvina.

Wtedy Henry przysunął się jeszcze bliżej.

– A co usłyszałaś, Grace? Jej oczy się rozszerzyły.

– Co usłyszałam?

– Tak, co usłyszałaś? Zmarszczyła brwi i przechyliła głowę.

– Słyszałam szelest krzaków, ale to mógł być wiatr, i oczywiście słyszałam też rzekę. I... – wyglądała na zdziwioną – słyszałam trzaśnięcie drzwiami samochodu.

* * *

– Wilkołaki umieją prowadzić.

– Owszem, niektóre – przyznał Henry, kiedy przechodzili przez ogródek.

– Ale niezbyt dobrze.

– To była długa zima, a na dzieci łatwiej polować niż na łosie. Może zabierają je do reszty stada.

– To jest możliwe, ale też mało prawdopodobne, żeby jakieś samotne wilkołaki uformowały stado.

– Ty chyba nie chcesz, żeby to wilkołaki stały za tym porwaniem? – wymamrotał Tony, gapiąc się w przestrzeń pomiędzy krzakami lilii, która była tylko minimalnie ciemniejsza od samych krzaków. Niebo się zachmurzyło i nie widział nawet na wyciągnięcie ręki. – Musisz pomóc mi tam dojść. Nie chcę na razie ryzykować z zapalaniem jakiegokolwiek światła. *Nie widzisz mnie* narzuca światłom pewne ograniczenia... Powiedziałem: poprowadź mnie – dodał chwilę po tym, gdy Henry postawił go na ziemi – a nie przenieś mnie.

– Tak było szybciej. Musisz popracować nad zaklęciem, które umożliwi ci widzenie w ciemnościach.

– Jasne. – Tony włączył latarkę. – Zajmę się tym w tych rozlicznych godzinach pomiędzy pracą a ratowaniem świata. Znalazłeś coś?

Henry przykucnął i przeczesnął ręką po ugniecionej trawie.

– Na nasze nieszczęście policja uwierzyła Grace na tyle, żeby tu przyjść. Teraz czuję tylko ich zapach.

Policja zrobiła w tym miejscu straszny bałagan. Nawet Tony to widział.

Ślady na ziemi, wiodące za krzaki lilii, zostawione zostały przez jelenia albo inne zwierzę, które zdecydowanie nie zjada dzieci. Policjanci dotarli do śladów opon, które między domami prowadziły do głównej drogi, i zaprzestali poszukiwań.

– Czy sądzisz, że pani Alton powiedziała policji konnej o trzaśnięciu drzwiami?

– Nie. Nie pamiętała o tym, dopóki nie zapytałem jej, co usłyszała. Wydaje mi się, że to – wskazał na drogę – jest oczywistym miejscem dla samochodu, ale wtedy nie jechał nikt tej wiosny, więc policja stwierdziła, że Grace...

– ...wymyśliła to wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę? – dokończył Tony.

– Jest to prawdopodobne. Nie można ich za to winić. Targanie tu porwanego dziecka nie miałyby najmniejszego sensu, chyba że niosłoby się je do samochodu, a ślady – wskazał ponownie ręką na nieużywaną drogę – a raczej ich brak, dowodzą, że samochodu tu nie było. My jednak wiemy, że jakiś był, musimy więc znaleźć inne miejsce, do którego można by nim dojechać. Zaczekaj tutaj.

– Dlaczego...

– Ponieważ ja poruszam się szybciej i nie chcę, żebyś wpadł do rzeki.

Tony westchnął i wyłączył latarkę. Nie widział rzeki, której stromy brzeg znajdował się jakieś trzy metry dalej, ale dźwięk rwącej wody był w nocnej ciszy wyraźnie słyszalny.

Pięć minut. Blizna na lewej dłoni swędziała i zastanawiał się, czy nie zapalić czarodziejskiej lampy. Dziesięć minut. Kiedy dostał swoją pierwszą porządną pracę w Vancouver, kupił sobie tani zegarek z fosforyzującą tarczą, bo był zmęczony spędzaniem nieokreślonej ilości minut w ciemności. Piętnaście minut. Ziewnął i o mało co nie połknął swojego języka, gdy blada twarz Henry'ego nagle wynurzyła się z ciemności.

– Za tymi cedrami jest lita skała. Istnieje możliwość, że jakiś pojazd jechał wzdłuż rzeki, a potem z powrotem po moście na autostradę numer 12.

– To, że jest taka możliwość, nie oznacza, że samochód tam był – zauważył Tony, gdy kierowali się w stronę podjazdu i ich samochodu. – Raczej wątpię, żeby pani Alton słyszała cokolwiek innego niż dźwięk rzeki, Henry. Ta droga pewnie nie ma nic wspólnego z...

Henry pokazał mu mały czerwony kalosz.

* * *

Z butem w jednym ręku i laptopem na kolanach Tony przeglądał swój katalog zakłęb.

– Już mam. *Łączenie par* – łączenie dwóch części w całość. Rzucam zaklęcie na kalosz, a on jak kompas prowadzi do drugiego. – Wyjął czarny marker z plecaka, który znajdował się teraz pomiędzy jego stopami, i narysował runę na podeszwie.

– Cokolwiek porwało to dziecko, śmierdzi starą krwią, starymi zabójstwami – warknął Henry, wjeżdżając na most. – Smród ukrywa jego prawdziwą naturę.

– Jeśli nie jest to jakiś wilkołak – drań, to nie znaczy, że któryś z mniejszych gigantów nie potrafi prowadzić. Oczywiście, o ile samochód jest odpowiednio duży.

Po chwili szperania w plecaku Tony wyjął z niego reklamówkę z ziołami, z której wybrał owoce takiego samego koloru, jaki miał bucik, i wsypał je do niego.

– Belladonna – wyjaśnił. – Aby oczyścić drogę. Używam aspektu magii współczulnej. To jest diuretyk, który sprawia, że chce ci się po nim szczać, i na tym polega oczyszczanie drogi.

– Przecież nie pytałem.

Bucik balansował na dłoni Tony’ego. Czarodziej sięgnął po moc i ostrożnie przeczytał słowa zaklęcia.

Bucik walnął w środek przedniej szyby.

Henry poruszył nozdrzami.

Tony westchnął, wyłączył laptopa i rzucił szybkie zaklęcie oczyszczające.

– Tak, zsikałem się – wymamrotał w swojej obronie, a jego policzki były całe czerwone. – Tak jak powiedziałem, to jest diuretyk, ale przynajmniej bucik nie wybuchł ani nie stopił się, ani nie zbił szyby.

– Nadal używasz zbyt dużo mocy.

– Nieprawda. Nowe zaklęcia potrzebują trochę dostrojenia.

– Dostrojenia? Mój samochód...

– Jest czysty. Już się tym zająłem. – Tony zsunął się na siedzeniu. – Niezależnie od tego, czy uwierzyli pani Alton czy nie, policja musiała przecież przeszukać brzeg rzeki. Dlaczego więc nie znaleźli buta?

– Znalazłem go po zapachu. Leżał w dużym zagłębieniu. Policja musiałaby przejść na drugą stronę i bardzo dokładnie wszystko przeczesać, a raczej wątpię, czy mają wystarczającą ilość ludzi po ostatnich cięciach w budżecie.

– Gadasz jak Vicki, tylko ona bardziej klnie przy takich tematach.

Vicki przestała być policjantką, zanim Henry zamienił ją w wampira, ale kwestie niedofinansowania branży nadal brała bardzo osobiście.

– Wracając do Vicki... – zmienił temat, ponieważ rozmowa o buciku, dziecku czy czymkolwiek, co je uprowadziło, podsyciłaby tylko jego gniew, a to mogło okazać się mało bezpieczne dla Tony’ego, który siedział z nim

w jednym samochodzie – czy będą się jej podobać takie fioletowe roślinki?

– Fioletowe roślinki?

– Takie jak te, co Grace ma w mieszkaniu?

– Czy będzie jej się podobać afrykański fiolet? Na miłość boską, Henry, ona kończy czterdzieści lat, a nie osiemdziesiąt.

Henry wyciągnął rękę i palnął go w tył głowy.

– Nie bluźnij.

Tuż przed tablicą z napisem *Rezerwat Nohomeen* pojawiła się zwirowa droga, która prowadziła na wschód, w stronę gór. Kalosz przeleciał tak szybko w kierunku okna pasażera, że prawie walnął Tony'ego w głowę. Kiedy Henry zjechał z autostrady, kalosz powrócił na swoje miejsce pośrodku przedniej szyby.

– Nie jest to za bardzo droga dla BMW – powiedział Tony, gdy o mało nie odgryzł sobie języka, kiedy samochód wpadł do jednej z dziur.

– Jakoś sobie poradzimy.

Droga biegła teraz za wschodnim krańcem rezerwatu Keetelcut, dokładnie na północ i dalej w głąb gęszy.

Minęli polankę po prawej stronie, która rozciągała się jak jakaś szrama na zboczu góry, i po kolejnych trzech kilometrach kalosz przesunął się raptownie w lewą stronę, uderzając o szybę.

Tony pochylił się w stronę Henry'ego, próbując dostrzec cokolwiek w ciemności.

– Nie widzę drogi.

– Jest leśny trakt.

– Jasne. – Tony chwycił kurczowo siedzenie. – Pamiętasz, co wcześniej mówiłem o prześwitach i pojazdach czterokołowych? Chwileczkę! – prawie pisnął, gdy Henry wyłączył światła. – Światła!

– Chyba nie chcemy, żeby nas zobaczyli?

– A tobie nie wydaje się, że wystarczy odgłos silnika? Albo dźwięk moich szczękających zębów?

Chwilę później, kiedy Henry zatrzymał samochód, Tony pożałował ostatnich słów. Owszem, nie chciał, żeby hałas ich zdradził, ale wspinaczka w ciemnym lesie też nie była jego marzeniem. Z drugiej strony Julie Martin też nie chciała być porwana ze swojego ogródka. W porównaniu z tym, co się z nią stało, nie było to nic takiego, na co powinien narzekać.

Tony poupychał garści różnego rodzaju ziół do kieszeni plecaka, po czym zaczął siłować się z kaloszem, żeby włożyć go do reklamówki. Torebka, którą trzymał, zaczęła zachowywać się jak różdżka. Ciągnęła go przed siebie z taką mocą, że musiał obwiązać ją dookoła nadgarstka. Kiedy sięgnął do samochodu po swój plecak, zaczęło padać.

– Świetnie – wymamrotał i zatrzasnął drzwi. – Nie ma to jak marzec

w Kolumbii Brytyjskiej. Henry, jest prawie pierwsza, a wschód słońca o 6.06. Jeśli nie chcesz spać zawinięty w zasłony w swoim bagażniku, musimy tu wrócić koło trzeciej. Czy mamy czas...

– Tak – ta pojedyncza sylaba zawierała pięćsetletnią pewność siebie.

– Też nie chcę jej tu zostawić, ale...

– Mamy czas.

Błysk zębów, zbyt białych w otaczającej ich ciemności, zasugerował Tony'emu, żeby przestał dyskutować. Zresztą zasadniczo nie miał powodów, żeby się upierać przy swoim zdaniu, ale to nie on był narażony na spontaniczny samozapłon w promieniach słońca i to nie on narzekał później długimi miesiącami, że musiał spać zawinięty w koc obok zapasowego koła. Rozbicie namiotu też nie ułatwiało sprawy. Tony zasugerował, że może Henry uda się do swojego schronienia, a on pójdzie sam.

– Nie jestem taki zupełnie bezradny, wiesz? – dąsał się.

– Tylko marnujesz nasz czas – odburknął Henry.

* * *

Zło, które porwało dziecko, było blisko. Bębnienie deszczu sprawiało, że Henry nie słyszał uderzeń serca (jeśli te stwory je w ogóle miały), a strumienie wody zmyły ewentualne zapachy. Wiedział jednak, że są blisko. Vicki nazwałaby to przecuciem i podążyłaby za nim, nie potrafiąc wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. Henry postanowił zrobić to samo. Przez jakieś dwadzieścia minut podążali leśnym traktem. Henry trzymał za łokieć Tony ego nie widzącego drogi. Reklamówka, w której znajdował się kalosz z belladoną, ciągnęła rękę czarodzieja, jakby była psem gończym, który złapał trop. W pewnym momencie tak mocno szarpnęła w prawo, że Tony potknął się i upadłby, gdyby przyjaciel go nie podtrzymał.

Trakt zamienił się w dwie linie na trawie, prowadzące prosto do światła widocznego pomiędzy drzewami. Wyglądało jak jakaś latarenka za oknem.

– Wilkołaki budują schronienia? – wymamrotał Tony, schylając się pod mokrą iglastą gałęzią. – Może stado siedzi w opuszczonej leśniczówce.

– Nie słyszę nic, co wskazywałoby, że to są wilkołaki. Nie słyszał też nic, co mogłoby dowodzić, że nie są.

Deszcz nadal maskował wszelkie zapachy i dźwięki, ale to się zmieniło, gdy podeszli bliżej budynku i dwóch czarnych SUV-ów. Dom był dość prymitywny i nie mógł się równać z pojazdami stojącymi obok. Henry wyrwał kawałek futra, które sterczało przy futrynie.

– Pies. I zapach jakiegoś starego zabójstwa, które wyczułem nad rzeką.

– To coś miało na sobie skórę psa? No dobra. – Przez chwilę Tony trawił informacje. – To nadal mogą być giganty. Te wozy – wskazał na SUV-y – są

cholernie duże. Poczekaj chwilę. – Tony włożył rękę do torebki i zmasał palcem runę z podeszwy buta. Kiedy zaklęcie przestało działać, schował zawiązaną reklamówkę do plecaka. – Pewnie przydadzą mi się obydwie ręce.

Runa na lewej dłoni pulsowała w rytm bicia jego serca.

Kiedy stanęli pod okapem, poza zasięgiem lejącego deszczu, Henry poczuł, jak coś umiera. Na pewno nie poszukiwana dziewczynka, gdyż bicie jej serca słyszał dobrze, mimo że było słabe, jakby została czymś odurzona, ale zwierzęcia, które zmarło przerażone i w wielkich cierpieniach. Warknął i zajrzał przez okno.

Jakieś pół tuzina lamp naftowych zwisało z belki stropowej. Dawały bardzo jasne światło. Przez okno doskonale było widać dwóch dobrze odżywionych mężczyzn w średnim wieku. Stali naprzeciw siebie, rozdzieleni stołem, który pokryty był krwią. Henry zobaczył gwoździe i młotki, więcej już mu nie było trzeba. Przez wieki widział wystarczająco dużo miejsc tortur, żeby w mgnieniu oka zorientować się w sytuacji. Obydwaj mężczyźni uśmiechali się, oddychali ciężko i patrzyli na swoje dzieło z ogromną satysfakcją.

Taki sam wyraz twarzy widział u inkwizytorów.

Mogli zacząć przez przypadek, zadając ból upolowanemu zwierzakowi, który jeszcze nie był martwy. Po jakimś czasie przestało im to wystarczać, musieli poszukać czegoś innego, a raczej kogoś. Julie Martin. Dziewczynka leżała skulona na sofie, z kaloszem na jednej nodze i brudną różową skarpetką na drugiej. Miała umorusaną buzię, ale wydawała się cała i zdrowa. Henry z doświadczenia wiedział, że tacy ludzie jak ci w środku odurzali swoje ofiary, żeby nikogo nie zaalarmowały. Póki środek działał, dziewczynce nic nie groziło. Zadawanie bólu nie miało sensu, jeśli ofiara nie była w pełni świadoma.

Surowe skóry, najprawdopodobniej przebranie porywaczy, zwisały z oparcia krzesła. Grace Alton naprawdę widziała zło. Widziała wyraźniej, niż ktokolwiek byłby skłonny w to uwierzyć.

– To tylko ludzie – nawet Tony wydawał się zaskoczony tym faktem.

– Nie ma czegoś takiego jak to TYLKO ludzie – warknął Henry, ledwie trzymając w ryzach instynkt myślowego. – Anioły i demony pochodzą od ludzi. Mówiąc, że tych dwóch to tylko ludzie, jest zaprzeczeniem tego. Przede wszystkim chcę, żeby dziewczynka była bezpieczna.

– Zabiorę ją. Tylko otwórz drzwi.

Henry nie otworzył drzwi, tylko wyrwał je z zawiasów przy wtórze jęku gwoździ wydzieranych z drewna. Wyczuł bardziej, niż zobaczył, że Tony unosi dłoń naznaczoną blizną. Chwilę później młody czarodziej wyszedł z pomieszczenia, uginając się pod ciężarem dziecka, i mruknął:

– Już.

Henry uśmiechnął się.

I wtedy dwóch mężczyzn przy stole dowiedziało się, co to znaczy trwoga.

* * *

Tony wsunął kalosz na nogę śpiącej dziewczynki, wziął ją na ręce i przytulił. Kiedy jechali w stronę Lytton, działanie narkotyków zaczynało słabnąć i żeby mała się nie obudziła, zaczął śpiewać jej kołysankę, której słowa miał w laptopie. Nie miało znaczenia, że były w języku, jakiego nigdy nie słyszała i nigdy nie usłyszy. Uśmiechnęła się, westchnęła leciutko i wsunęła kciuk do buzi.

Gdy dojechali na miejsce, rzucił na siebie i dziecko zakłęcie *Me widzisz mnie*, po czym zaniósł małą do jej domu. Pomimo że było po drugiej w nocy, wszystkie światła były zapalone. Delikatnie położył dziewczynkę na macie przed drzwiami i zadzwonił.

Odchodząc, słyszał płacz i śmiech oraz podziękowania jej rodziców. Dźwięk leczonych serc i uratowana niewinność – to będzie świetny prezent dla Vicki.

* * *

– Myślisz, że coś będzie pamiętać?

Henry jechał w stronę Vancouver ze znacznie większą prędkością niż dozwolona.

– Mam nadzieję, że nie.

– Sądzisz, że znajdą kiedyś ciała? Wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że ktoś kiedyś może się na nie natknąć.

– Nie zostawiłeś chyba żadnych śladów, które naprowadziłyby na ciebie gliny? Chodzi mi o to, że to byli ludzie.

Henry odwrócił się tak, że Tony mógł zobaczyć głód i cień prawdziwej bestii w jego oczach.

– Wolałbyś, żebyśmy pozostawili ich prawu?

– Oczywiście, że nie. – Czarodziej zaczął zdrapywać błoto ze swoich jeansów. – Oni jeszcze nic nie zrobili temu dziecku, ale mieli zamiar. Po prostu potwory to jedna rzecz, a oni...

– Byli potworami. Znowu będziesz wymiotować? Torsje były reakcją Tony'ego na to, czemu zapobiegli, a nie na to, co zrobił Henry. Nic dziwnego w tej sytuacji, niemniej bardzo go to krępowało. Na szczęście deszcz zmył smród z jego butów.

– Nie.

– Dobrze. Tony, nie ma znaczenia, czy lub kiedy znajdą ciała. Nic nie może ich naprowadzić na ciebie czy na mnie. – Zęby Henry'ego były zbyt białe w świetle jadącego z naprzeciwka samochodu, a oczy zbyt ciemne. – I tak nikt

nie wierzy w wampiry.

Tony popatrzył na twarz łowcy i wstrząsnął nim dreszcz.

– Stary, jedziemy ponad sto pięćdziesiąt na godzinę. Mógłbyś patrzeć na drogę?

* * *

– Dobra. Nadal nie rozumiem, dlaczego czterdzieste urodziny są ważniejsze niż na przykład sto czterdzieste, ale wydaje mi się, że mam już prezent dla Vicki. – Henry wyjął gustowne etui z kieszeni i otworzył. – Para półkaratowych diamentowych kolczyków.

Tony odsunął się od drzwi, żeby wpuścić przyjaciela do środka. Spojrzał na kamienie i powiedział:

– Dobry wybór. Diamenty są wieczne, tak jak ona.

– A teraz przeczytaj karteczkę.

– Ach. Dołączyłeś wycinek z gazety o cudownym powrocie do domu Julie Martin. Bardzo mądrze. Prawie łagodzi te różowe świecące różyczki na przedzie tego czegoś. Bla, bla, bla, jako że wkraczasz w najwspanialszy okres w swoim życiu, bla, bla, obyś zawsze była tak młoda, bla, w twoim imieniu dwóch złych ludzi zostało wysłanych do piekła, czyli tam, gdzie było ich miejsce. – Tony spojrzał na niego i uśmiechnął się. – Widzę, że robisz teraz kartki na każdą okazję.

– Ostatni fragment sam dodałem.

– Serio? Nie wpadłbym na to. A tak naprawdę to jest idealny prezent, Henry. Nie musisz go nawet pakować. A Vicki nie będzie musiała szukać na niego miejsca i nie może się dąsać na życzenia.

– Sądysz, że się jej spodoba?

– Spodoba? – Tony parsknął i położył kartkę na stole kuchennym. – Wydaje mi się, że będzie chciała dokupić resztę kompletu. Powinieneś zacząć myśleć, co jej dasz na pięćdziesiąte urodziny.

– Pięćdziesiąte? – Henry zamarł.

– Pięćdziesiąte, sześćdziesiąte piąte, siedemdziesiąte piąte, dziewięćdziesiąte, setne i sto dwudzieste siódme...

– Sto dwudzieste siódme?

– Żartowałem. Daj jej coś naprawdę ładnego na setkę i pewnie będziesz miał spokój do sto pięćdziesiątych urodzin.